

ZIEMIA

Warszawa—Lwów.



S. Matusiak.

Koń w naszych wierzeniach ludowych. 4)

W Lubelskiem znowu inaczej. Tutaj w trzeci dzień świąt Bożego Narodzenia obchodzi wieś dwu parobków z rana, prowadząc ze sobą wołu czarnego i śpiewając kolędy ¹⁾).

Na Pokuciu w sam Nowy Rok po nabożeństwie ubiera czeladź konia lub wołu albo barana rozmaitemi wstążkami, kłosami, kaliną lub barwinkiem i wprowadza do chałupy, aby pozdrowić gospodarza z Nowym Rokiem nowem szczęściem ²⁾). Ale i u Hucułów nie wszędzie występuje przy tej sposobności jakieś zwierzę. Bardzo często biegają w Nowy Rok tylko kołędnicy po chałupach z mieszaniną wszelkiego zboża i obsypują nią gazdów, składając równocześnie życzenia wszelkiej pomyślności we wszystkim ³⁾).

Całkiem podobnie ma się rzecz u Rusinów we wschodniej Galicyi. W Dziewiętnikach np. w dzień Nowego Roku zaraz z rana wyprowadza ktoś z domowników krowę lub wołu ze stajni i wprowadza do chaty, gdzie daje bydłciu siana, a sam składa gospodarzowi życzenia, żeby mu się dobrze powodziło w gospodarstwie, za co gospodarz daje kilka groszy gratulantowi. Gdy bydłę zje podane sobie siano, odprowadza się je do stajni ⁴⁾). W tych samych stronach dzieje się to samo prawie z krową,

ale w dzień Ofiarowania N. P. M. (21 listopada st. stylu ¹⁾).

W Chełmszczyźnie chłopcy wiejscy, zawiesiwszy w Nowy Rok na ramionach torby z mieszaniną wszelkiego zboża, śpieszą do dworu, na probostwo i do chałup wiejskich, a rzucając ziarno przez otworzone drzwi, składają życzenia, żeby w roku przyszłym rodziło się wszystko jak najlepiej ²⁾).

U górali naszych zaraz po powrocie ze mszy pasterskiej, mężczyźni, wzięwszy owsa do rękawic, idą „w podłazy“, t. j. odwiedzają krewnych i sąsiadów, sypiąc owsem po izbie, po podłodze, po sprzętach, a nawet domowników niemi obsypując, gdzieniegdzie nasamprzód gazdę, mówiąc przytem: „na szczęście, na zdrowie, na to Boże Narodzenie, żeby wam się darzyło, mnożyło wszystko dobrze w komorze, w oborze i w roli. Daj Boże, żebyście tyle mieli wolków, ile w dachu kołków ³⁾, tyle koników, ile w płocie kulików (kolików t. j. kołów), tyle owiec, ile w lesie mrowiec (mrówek); żebyście tacy byli weseli, jako w niebie anieli“ ⁴⁾). Gdzie-

¹⁾ Lud, VIII, 378.

²⁾ O. Kolberg, Chełmskie, I, 119.

³⁾ Głębiej w Beskidach zachodnich i na Podhalu zamiast gontów do pokrycia dachów używają tarcic, które nie gwoździami, lecz kołkami przybijają do łat i krokwi. Dawniej, gdy drzewo było tańsze aniżeli dzisiaj, ten sposób pokrywania zabudowań był powszechniejszy niż obecnie.

⁴⁾ Dr. E. Janota. Lud i jego zwyczaje, 41.

¹⁾ O. Kolberg. Lubelskie, I, 105.

²⁾ O. Kolberg. Pokucie, I, 131.

³⁾ O. Kolberg. Pokucie, I, 130—131.

⁴⁾ Lud, VIII, 373.

niegdzie taki jeszcze słyzy się dodatek: „sноп przy sнопie, kopa przy kopie; gazda między kopami jako miesiąc między gwiazdami“. Po tem przywitaniu proszą lub proszono (bo w wielu miejscach księża zabronili chodzenia w podłazy w Boże Narodzenie) podłazników za stół, gdzie była lub jest przygotowana przekąska, zazwyczaj chleb z masłem, specyał w górach, lub kiełbasa i wódka, miodem słodzona. Znaczniejszych gospodarzy lub celniejszych młodzików prosi się w podłazy kilka dni naprzód; inni biegają nieproszeni, gdzie tylko sądzą, iż coś znajdują na zęby i do przepłókania gardła. Niektórzy zamiast owsa używają grochu lub jęczmienia, którego jednak gdzieindziej nie biorą, mniemając, że sypanie lub obrzucanie nim sprawdza wrzody — lub też do owsa mieszają bób, aby obrzuceni lepiej mogli poczuć uderzenia. Część owsa wysypuje podłaznik na stół, a owies ten nazajutrz (w św. Szczepana) święcą w kościele. Nad ranem każdy jest już u siebie¹⁾.

Bardzo osobliwy zwyczaj utrzymywał się, a może i jeszcze się utrzymuje w Lubelskiem. Oto w dzień święta Trzech Króli studzy dworscy pokojowi dla dostania poczęstnego na piwo od pana zastawiali stołem drzwi wchodowe z pokojów do sieni, na który to stół nakładli chleba, co się zmieści. Uczyniwszy to, wywołują pana za jakim interesem do sieni, a gdy tenże do drzwi zastawionych przyjdzie, kłaniając się, wieszają mu święta i życzą, ażeby się go chleb trzymał, tak jak na tym stole i nie odstawiają stołu ode drzwi, dopóki się nie wykupi. Ten zwyczaj rozpowszechniony był na Mazurach, a bardziej jeszcze koło Janowa Ordynackiego pod Frampolem, Gorajem i t. d.²⁾.

Co to wszystko ma znaczyć?

Już same symbole, wchodzące tutaj w grę, jak koń, wół i inne zwierzęta, tudzież zboże, którem się obsypuje dom i gospodarza, świadczą bardzo wymownie, że to wszystko jest przeżytkiem sędziwej przeszłości, a dla obznajmionych nieco dokładniej z wierzeniami, zwyczajami i obyczajami naszego ludu, rzecz całkiem widoczna, że to zwyczaje **n o w o r o c z n e**, oparte na bardzo dawnych, jeszcze pogańskich, **n o w o r o c z n y c h** wyobrażeniach religijnych. Dzisiaj nie wszystkie te zwyczaje odbywają się w sam Nowy Rok, niektóre bowiem wiążą się ze świętami Bożego Narodzenia lub innymi uroczystościami, ależ to rzecz całkiem naturalna, że zwyczaje, które wiązały się w pogańskich czasach z „nowem latem“ czyli „nowym rokiem“ pogańskim, w czasach chrześcijańskich

poczęły się łączyć z chrześcijańskim Nowym Rokiem, który rozpoczął się pierwotnie razem ze świętami Bożego Narodzenia; cóż więc dziwnego, że jedne z tych zwyczajów łączą się dzisiaj ze świętami Bożego Narodzenia, a inne z dzisiejszym Nowym Rokiem. Przypadają te zwyczaje i na inne uroczystości chrześcijańskie, gdyż wiadomo powszechnie, że czasy takich zwyczajów oznaczał kościół, kierując się w tej mierze najrozmaitszymi względami: takimi np., jak ten, żeby w pewne wielkie święta nie dopuszczać zwyczajów, nieliczących z ich powagą, lub takimi, jak ten, że ten lub ów zwyczaj religijnie łączy się lepiej z tem, a nie tamtem świętem. Jeżeli więc zwyczaje te połączone gdzieindziej na Rusi ze świętem Ofiarowania N. P. Maryi, to rzecz widoczna, że chciano przez to dać do zrozumienia, iż z bydląt symbolicznych czyni się niejako ofiarę Matce Bożej i pod Jej wszystko oddaje się opiekę. Sam charakter zresztą tych zwyczajów, tudzież wierzenia religijne, na których to wszystko oparło się przed wiekami, a których reminiscencye przechowały się do tej pory wśród naszego ludu, wskazują najwyraźniej, że mamy tu do czynienia z prastarymi zwyczajami noworocznymi. Oto niektóre z tych wierzeń.

Mazury wierzą, że to, co się robi w Nowy Rok, to będzie się robiło przez cały rok; że jak się komu wiedzie w Nowy Rok, tak mu się będzie wiodło przez cały rok. Jeśli w ten dzień odbierasz lub wydajesz pieniądze, będziesz odbierał lub wydawał pieniądze przez cały rok i t. d.¹⁾ Ponieważ święta Bożego Narodzenia, rozpoczynające się od Wigilii, to pierwotnie początek roku chrześcijańskiego, więc rzecz prosta, że święta te mają to samo znaczenie w tych wierzeniach, co Nowy Rok. „Jakiś w Wigilię—powiadają w Sidzinie (w Galicyi) — takiś cały rok“. Lecz nie tylko w Sidzinie, nie tylko u samego ludu, ale i w wyższych warstwach tkwi potąd przekonanie, wyrzeczone w tem przysłowiu²⁾. „Wystrzegają się więc wszystkiego, co jest naganne, kłótni, swarów, bitki, zbytecznego smutku, płaczu i t. d., bo jakiego usposobienia kto jest w Wigilię, takiego będzie przez cały rok (Strzeszyn, Zagórzany, Kłęczany, Libusza, Iwonicz i prawie wszędzie)“. „Być ponurym i smutnym w dzień ten nie godzi się ależ i śmiać się za wiele nie wolno, ani śpiewać, bo w tym wypadku właśnie przeciwnym porządkiem przez cały rok smutnymby się było; nie skaczą też, boby im takim samym trybem przez cały rok nogi obierały; nikt nie chce,

1) Dr. E. Janota l. c. 41—42.

2) O. Kolberg. Lubelskie, I, 112.

1) O. Kolberg. Mazowsze, I, 94.

2) Dr. Janota l. c. 9.

nawet być chorym tego dnia, boby chorował przez cały rok. Kto atoli w Wigilię kichnie, zdrów będzie przez cały rok. Ktoby tego dnia pogniewał kogo na siebie, ściągnąłby sobie gniew na cały rok. Więc nawet dzieci posłuszne są i potulne tego dnia, aby nie oberwać jakiej kary, boby się tak działo przez cały rok, a Wilia rada dzieci bija (Wilamowice, Lanckorona, Harbutowice) lub też: we Wigilię dzieci biją, pod piec wsadzą, jeść nie dadzą (Sidzina). Gdzieindziej właśnie dlatego nie karzą dzieci w Wigilię, chociażby zasłużyły, bo kara, otrzymana w Wigilię, powtarzałyby się przez cały rok (Bieńkowa). Kogoby tego dnia spotkało nieszczęście, tego przez cały rok prześladować będzie, a komuby się powodziło w Wigilię, temu przez cały rok szczęście sprzyjać będzie (Bieńkowa, Rabka, Łużna). Dlatego nie tylko złodzieje z zawodu starają się w ten dzień coś tak ukraść, aby nie zostali spostrzeżeni lub schwyceni, w tym bowiem wypadku nie wróżą sobie korzystnego roku, lecz wogóle na szczęście lubi jeden drugiemu porwać jaką drobnostkę. Gdzieindziej nie tylko parobcy nachodzą gospodarzy i starają się im coś zręcznie wziąć i ukryć, jeżeli można, przed okiem właściciela, tak żeby własności swojej, lubo ją ma pod samem okiem, nie mógł znaleźć, lecz w nocy, okradając się nawzajem, konie nawet ze stajni uprowadzają (Łużna...) Nazajutrz, to jest w dzień Bożego Narodzenia, rzeczy skradzione w Wigilię dla zapewnienia sobie szczęścia odnoszą właścicielom, żądając okupu za ich zwrot, wódki lub piwa, sami nieraz dokładając się do tego pieniądza¹⁾. A wiadomo powszechnie, że i myśliwi przykładają do tego wielką wagę, żeby w Wigilię zapolować i to zapolować szczęśliwie. „W Wigilię lubi także lud jak najwcześniej wstawać, żeby przez cały rok wczas wstawać i nie być ospałym (Wilamowice, Bieńkowa, Sidzina, Czchów, Strzeszyn, Zagórzany, Klęczany, Libusza). Lubią też w dzień ten gospodarze mlócić, wiać, do lasu jechać i podobnemi zajmować się czyn-

nościami, sądząc, że kto tego dnia pilnie pracuje, pilnym też będzie przez cały rok w wykonywaniu swoich powinności. Miejscami schodzą się prządki już o godzinie drugiej lub trzeciej rano i przędą na wyścigi, aby przez rok wiele uprząść i wiele zarobić na przędziwie...“¹⁾.

„Dla tego czarodziejskiego wpływu Wigilii na cały rok nic w ten dzień lud nie łąta, ażeby się nie darło nowe; ubodzy nawet nie chodzą w ten dzień po prośbie“, bojąc się zapewne przypadkowej odmowy, któraby sprawiła, że przez cały rok nie dostawaliby jałmużny...“²⁾

„Niektórzy, aby byli zdrowi przez cały rok, kąpią się nawet w ducoli (przerębli)...“ „Miejskami myją się w Wigilię rano zimną wodą, włożywszy do niej kilka monet, zazwyczaj srebrnych, czasem nawet złotą, a gdzie niema ani jednych, ani drugich, to miedziaka. Myjąc się tą wodą, dotykają się ręką monety, ażeby byli czerstwi, jak kruszec, z którego zrobiona moneta...“ „Czynią to też, aby przez cały rok mieli pieniądze...“ „Miejskami prowadzą rano także bydło do wody, aby przez cały rok było zdrowe, piękne i czerstwe“³⁾.

„Gdzieindziej w Wigilię, a indziej w Nowy Rok zrana nikogo w kozuchu nie wpuszczają do domu, mniemając, że wejście takiego człowieka przyniosłoby dzieciom wrzody i inne choroby. Indziej utrzymują, że ktoby w dzień Bożego Narodzenia pierwszy spotkał człowieka w kozuchu, dostanie wrzodów. Miejskami uważają, ażeby w Nowy Rok nie wszedł do domu człowiek w kozuchu lub z garnkiem, boby w tym domu przez cały rok panowały bolaki...“ „Co do Nowego Roku, lubią nawet, aby z pierwszym brzaskiem dnia ktoś zdrowy ich podlaź czyli nawiedził, człowieka obcego zaś nie wpuszczają do domu, aż się dowiedzą o jego zdrowiu, bo po człowieku chorym lub niedobrym przez cały rok albo chorują, albo się im niedobrze powodzi.

¹⁾ Dr. E. Janota l. c., 9—10.

¹⁾ Dr. E. Janota l. c., 10.

²⁾ Dr. E. Janota l. c. 10—11.

³⁾ Dr. E. Janota l. c. 11.

D. N.



Noc letnia w wierzeniach ludu ukraińskiego.¹⁾

Cicho iskrzą się gwiazdy na ciemnym tle nocy ukraińskiej. Błady miesiąc sieje srebrną poświatę na uśpione sioło. Kędyś daleko szeroko płyną tęskne przeciągłe śpiewy dziewczęce — chóry parobczane.

Wśród bzów pachnących, w zielonej kalinie zanosi się słowik — „Trr... trr... ci-ci-ci tach-tach-tach...”

Starą odwieczną pieśń miłosną śpiewa.

Powietrze przesycone zapachami drzew, oblanych kwieciem białym.

Śpi sennie sioło. Cisza. Jenó zabrzączy bąk, przelatując kędyś... Śpią snem twardym, kamiennym spracowani wieśniacy.

Tylko daleko za siołem płoną ogniska, przychają konie na pastwiskach.

W noc taką uroczą, pełną tajemnic i szepców przyrody dusza chłopca ukraińskiego rozmarza się, przepelnia się poezją, i wyobraźnia jego wówczas roi nadludzkie jakies obrazy, postacie nadzmysłowe, widzenia z zaświatów...

Tworzy, wywołując w pamięci swej opowieści i wierzenia ojców, dawne, zasłyszane z dzieciństwa „skazki“ matek, pełne grozy, lęku i dziwu.

Otwiera się czarowna skarbnica baśni i wiezeń, uśpiona codzienną pracą, mozołem powszednim; zdrowa, spracowana, jędrna dusza kmiecia z lubością unosi się w światy zaczarowane, tajemnicze.

W taką cichą noc letnią, opiewaną przez poetów, wyszedłem poza obręb sioła w pole szerokie, drzemiące w mrokach tajemniczo, na dawny step ukraiński.

Usiadłem przy kurzeniu²⁾ obok „dida“ — łanowego³⁾, stróżującego pola pańskie; rozciągnąłem się na murawie na wznak, mając ponad sobą namiot prawieczny — miliony gwiazd — ogromny majestat nocy... Obok w trawach, w zbożu strzykały nieustannie koniki polne. Kędyś zdaleka derkał chruściel na mokradłach. Tuż przedemną niewyraźnie, w mrokach zarysowała się wielką ciemną plamą ogromna mogiła⁴⁾.

Powietrze ciepłe, mdłe, przesycone aromatami ziół i traw.

„Did“ obok mnie pykał z „lulki“ machorkę, opowiadał baśnie stare, objaśniał mi każdy szmer, każdy objaw życia nocy letniej, każdy ruch i dźwięk tajemniczy przyrody.

Tam gwiazda spadająca (aerolit) długa, srebrną przędzą błysnęła na ciemnym sklepieniu nocy — to stęskniony latawiec (obijasnyk) z zaświatów zlatuje do swej ukochanej na nocne miłosne spotkanie...

Na szerokim szlaku, biegnącym w mroki gęste, wyłonił się jakiś pies włóczęga, przebiega nagle obok nas — to wilkołak dąży do wsi, do „swoich“...

Jakiś ptak tajemniczy, niewidzialny zafurkotał kędyś w mrokach powietrznych nisko, tuż ponad głowami — to wiedźma na miotle poleciała ku Kijowowi — na Łysą-górę.

Cicho pluśnie rybka, srebrne zwierciadło stawu zmarszczy, zatoczy półkole w poświacie miesięcznej — to topielica (rusałka) wynurzyła się z toni.

Wśród ciszy nocnej zagnęła dziwnie zaszeleszcze zboże, zatrzepoczą, zaszumią trwożnie liście drzew, przemknie ciepły prąd wichru — „kusy“ (czort) popędził gdzieś w czahary, w oczerety, na topieliska...

Puszczyk wśród sioła w pustce nagle zawołał „puhuhaj — puaj...“¹⁾ — to posłaniec śmierci i nieszczęścia złą wróżbę mieszkańcom wsi głosi.

Tuż ponad głową nietoperz zatoczył bezszelestnym lotem krąg — jeden — drugi — to ptak nieczysty (upiór) zlatuje, aby krew niewinną niemowląt i dziewic ssać...

Kędyś w cichej zagrodzie krowa zaryczy żałośnie — to wiedźma ją doi lub też nasłała węża, który wpił się w wymiona i mleko wysysa.

W stajence zarżał koń niespokojnie, trwożnie — to „domowik“ (duch domowy) kielzna go na nocną przejażdżkę²⁾.

¹⁾ Z Medwina, pow. kaniowski.

²⁾ Kurzeń stawiają z gałęzi i przykrywają słomą (w rodzaju namiotu) stróże polni na Ukrainie.

³⁾ Łanowy — stróż pola-łanu.

⁴⁾ Saur — mogiła pod Medwinem (w Kaniow-szczyźnie).

¹⁾ W mniemaniu ludu puszczyk wydaje krzyk — dosłownie — „pochowaj!“ (pogrzebaj!) a na czyjejkolwiek zagrodzie usiądzie, krzycząc swe „pochowaj!“ tam napewno coś z dobytku zginie lub ktokolwiek z mieszkańców zagrody umrze.

²⁾ Domownik-duch, który przynosi gospodar-

Zaturkotała bryka na pustym szlaku, pędzi czwórka, jakiś spóźniony zahulany szlachcic powraca z sąsiedztwa — lecz kto zaręczy, czy nie jest to dyabeł, który lubi omamić chłopą i przybiera na się często postać „pana“ z za gór — z za lasów?...

Tyle dziwów i czarów roztacza się dokoła w nockę letnią, że któż je naraz wszystkie spamięta i objaśni.

Nocka letnia, nocka ciepła, krótka jest — zeledwie zachód ściemnieje całkiem, zaledwie minie północ, już na

wschodzie białawe pasmo świtu powstaje, dzień „błogosławi się“ perlistą smugą.

Oto już kur zapał i wszelkie duchy nocne straciły moc i siłę nadprzyrodzoną. Wszelkie duchy kryją się — znikają przed przyjściem jasnego życiodajnego słońca.

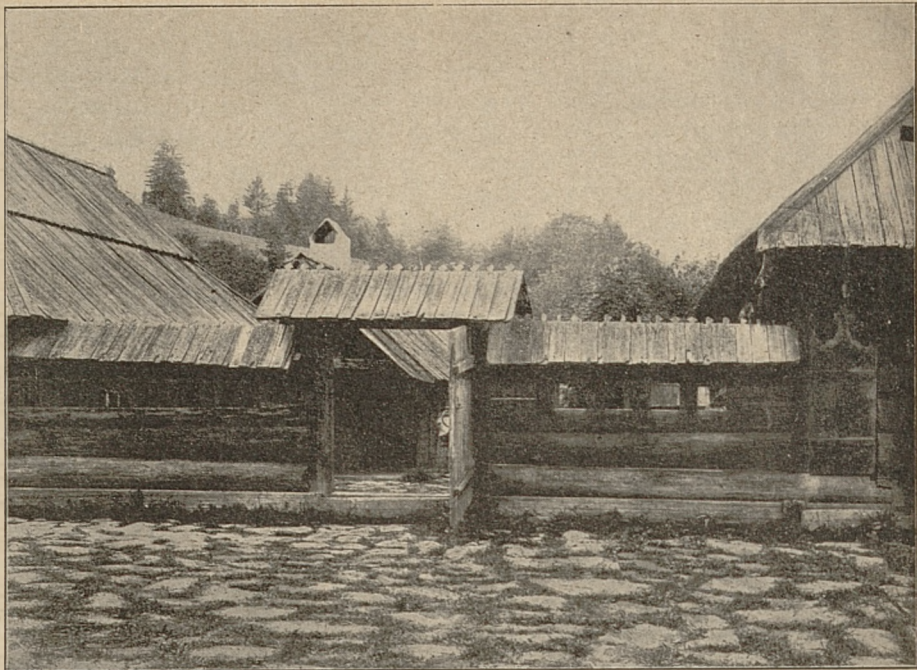
Tak „did“ z powagą, z wiarą głęboką nauca o dziwach nocy letniej — opowiada i wierzy niezachwianie.

Opowiada na stwierdzenie wiary w „latawca“ (obijasnyka) fakty przekazane mu przez ojca, który znów z kolei słyszał je od dziada...

„Jako pewnego razu umarł we wsi gospodarz i oto do wdowy począł przylatywać „latawiec“ (obijasnyk) co nocy¹⁾. Wdowa w tęsknocie wielkiej, niepoczyszona po stracie męża, myślała o nim dnie i noce, nieustannie go mając przed oczyma swemi — i oto tęsknotą ową ściągnęła go z za grobów. Widywali go sąsiedzi, jak w nockę cichą zlatywał z górnych

stwu dobrobyt; przebywa zwykle na strychu nie lubi srokatej koni — i nienawidzone przez się zwierzęta zajeżdża w nocy, zaplątując w kółtu grzywy; postać ma w niektórych okolicach starca z długą siwą brodą (w pow. skwirskim).

¹⁾ Lud wierzy, iż tęsknotą można zawsze przywołać zmarłego do siebie i ostrzega przed rozpaczą, gdyż przywoławszy go następnie trudno się pozbyć, i widmo, obcując z żywą istotą, wypija jej żywotne siły, krew gorącą — a „nawiedzany“ przez widziadło schnie, wycieńcza się i umiera szybko,



fol. II. Gąstorojski. SZCZEGÓL ZAGRODY (DZIŚ NIEISTNIEJĄCEJ) HRYCIA HUKA W ILCE ŻABIOWSKIEJ, P. KOSOWSKI

strefów — ognisty. Wdowa zaś nie kryła się z tem bynajmniej, iż obcowała z latawcem — z widmem męża swego (z obijasnykiem). Kilku sąsiadów pewnego wieczoru ukryło się w chacie wdowy pod ławy, przyniosłszy z sobą gorejący kaganiec, przykryty nowym garnkiem, aby nie świecił; kiedy zaś przyleciało widmo i przemówiło do wdowy, zdjęli ów garnek ze światła, kaganiec oświecił izbę — „obijasnyk“ wówczas zerwał pułap, zwałił dach i uciekł — i więcej go nie widziano.

Inna znów wdowa tęskniła wciąż ogromnie za zmarłym mężem i opowiadała sąsiadkom, iż w nocy nawiedza ją nieboszczyk w postaci „obijasnyka“. Jedna z sąsiadek — bab „wiedzających“ — poradziła jej, aby przed przyjściem widziadła wzięła się do smarowania gliną izby, poczynając od progu. Wdowa usłuchała rady, a gdy widmo latawca przyszło, zapytało wnet, po co smaruje izbę od progu, kiedy tego nikt nie czyni i jej też tego czynić nie wypada; wdowa odpowiedziała mu — „a czy słyszana rzecz jest, aby umarły przychodził do żyjącej istoty?“ I latawiec znikł natychmiast, nie powróciwszy już nigdy.

Czary i dziwy dzieją się w nockę letnią, lecz najdziwniejszą, największą moc posiada noc niesłychanych czarów noc Iwana Kupaty (św. Jana 24 czerwca); nadprzyrodzone siły wówczas posiadają władzę całkowitą na ziemi; duchy, widma i upiory wszelkie zlatują wówczas z zaświatów i rozwydrzone niepomiarkowaną swobodą wyprawiają orgie i sarabandy piekielne.

W tę noc kwitnie paproć. Szczęśliwy jest ten śmiałek, który kwiat ten posiędzie ¹⁾. Lecz trzeba pamiętać, idąc poń, aby wziąć nóż — dziewięć razy przez dziewięć Wielkanocy poświęcany, wielki obrus i świecę z wosku wielkopiątkową („strastną“), która przy dziewięciu nabożeństwach przez dziewięć wielkich tygodni paliła się. Nożem trzeba zakreślić miejsce w krąg, przykryć je obrusem, zapalić świecę, usiąść na zakreślonym miejscu i oczekiwać kwitnięcia paproci. Paproć kwitnie o północy — zaledwie jedno tylko mgnienie oka, opadając natychmiast. Kiedy kwiat uda się wziąć (ma on tę cudowną własność, iż szczęśliwy znalazca posiada wraz z nim wszystkie tajemnice świata — przed nim nic się ukryć nie może), aby go złe duchy nie odjęły, trzeba rozciąć dłoń prawą poświęcanym nożem i kwiat złożyć pod skórę, aby tam wrósł na zawsze. W czasie kwitnięcia paproci złe, nadprzyrodzone moce straszą — to sterta olbrzymia siana sunie na śmiałka wprost, to znowu kwoczka z kurchętami ciągnie ogromną potworną chatę, to czarna karetka bez koni, bez zaprzęgu toczy się sama, to lezie coś okropnego niby olbrzymia góra.

Tak stare wierzenia, stare bajki i gusła, pogańskich sięgające czasów — po całej Słowiańszczyźnie niegdyś kultywowane — przechowywane przez naszych pradziadów — „did“

¹⁾ Chociaż opisy nocy świętojańskiej znane są wszystkim — i bynajmniej nowością nie są — podaję tu wzmiankę o niej — jak mi to opowiedział „did“ — nie chcąc wyrzucać z ogólnego opisu nocy ukraińskiej według dawnych wierzeń ludowych skreślonej, aby to ze szkodą całości nie było.

ukraiński z gorącą wiarą głosi w XX stuleciu. I myśl przenosi się mimowoli w te dawne — dawne dzieje, w tę umarłą kulturę aryjską — pradziadów.

Tymczasem dokoła umilkło już wszystko. Senna cisza zaległa. Jenó wśród zboża — samotnie ćwierka świerszcz polny, jenó chruściel derka kędyś na łące, jenó słowik w zielonej kalinie zalewa się „trr... trr... ci-ci-ci-tach... tach...“

I dziad powstał, przeżegnał się potrzykroć i odszedł krokiem powolnym w pole zielone; a idąc wśród zbóż zanucił głosem drżącym, starczym starą kozacką pieśń — starą dumę „Samarke“ ¹⁾. Płynęła z piersi jego дума tęskna niewymownie — dziwnie smutna — ogromnie jękliva.

To zaciągnie długą, bolesną, minorową nutą: „Oj bracia gołąbkowie...“ To szybkim recitive wyrzuci „I prosił brat brata w niewoli pogańskiej kropelki wody...“

Pieśń cicha coraz dalsza — niby szmer — aż umilkła całkiem. A na wschodzie coraz jaśniejszą stawała się smuga świtu. I poczęły się podnosić mgły siwe i gęste opary. Wielka mogiła wyraźnie rysowała się na tle cichego świtu, wylaniała się, niby ogromna okrągła kopuła tajemniczej świątyni...

A na szczycie jej precudnym mieniącym się blaskiem drżała jutrzienka. Chłód rzeźki poranku szedł kędyś z jarów wilgotnych — rośnych...

¹⁾ Duma „Samarke“ opiewa o trzech rannych braciach, w niewoli tatarskiej jęczących. Jedna z najdawniejszych dum kozackich-ukraińskich.



Nora Walicka.

P O Ł A G A.

5)

Od czasu wycięcia lasu klimat się w Połudzie odmienił, ubyło wiele ptactwa śpiewającego i zwierzyny. Lelków i gołębi dzikich oraz krasek już wcale nie widać. Spłoszone

zające uciekły, w komiczny sposób wpadając w ulice miejsciny. Trzy lata trwało rąbanie i wywożenie lasu, poczem z wielkim nakładem został przez właściciela założony park prywa-

tny przez trzech inżynierów: Andréego z Paryża, Buissieu z Belgii i Coulona ze Szwajcaryi. Pałac murowali Niemcy, a że klimat nadmorski nie sprzyja murom, cement odstawał i mur kruszył się. Olbrzymi kawał sufitu spadł w pokoju w chwili, gdy tam się znajdowała pani domu, i szczęśliwie opadając zaledwie musnął w ramię. Gdy się lud o tem wypadku dowiedział, wytłomaczył to sobie, że się „święta Biruta mści“ w ten sposób za znieważenie świętego miejsca przez wycięcie lasu i stworzenie ludzkiej siedziby na tem miejscu.

Bo jakąś dziwną losów koleją Biruta we wspomnieniu ludu stała się świętą. Kobiety, pielgrzymujące do kaplicy na górze, chodząc na kolanach naokoło kaplicy, modlą się do św. Biruty, szczególnie w celu uproszenia zdrowia dla małych dzieci. Pielgrzymki masowe na Birutę zmalały od czasu zbudowania pałacu, z czasem zapewne zupełnie ustaną. Wprawdzie dziś przyciąga znów lud obraz Bogarodzicy, ustawiony w kaplicy w ołtarzyku i odpustem obdarzony, ale pomimo to łatwo zauważyć o wiele mniejszą ilość pobożnych. Biruta, włączona do parku, ogrodzona drutem kolczastym, pozbawiona najstarszych sosen, straciła wiele na swym uroku w oczach ludu.

W dolince Biruty była bardzo głęboka studnia, z której czerpano wodę, rzekomo uzdra-

wiającą oczy; obecnie, po wyczerpaniu, studnia została zasypana. W wielu miejscach na Żmudzi są piękne źródła, którym przypisuje lud miejscowy własności uzdrawiające oczy, co się tłumaczy tem, iż trachoma bardzo jest rozpowszechniona na Żmudzi.

Obecnie reszta lasu około Połagi zagrożona jest silnie przez mniszki prządki. Za lat kilka spodziewać się można smutnego widoku zniszczenia, jakie jest rezultatem pracy tego niewidzialnego prawie wroga.

Nawprost wzgórza Biruty (Biruta inaczej Birutie — jest to imię spieszczone; niespieszczone brzmiało Bira lub Birie) nieco na północ znajdują się w głębi morza, w odległości, do której kąpiący się nie dochodzą, pozostałości fundamentów portu. Wiadomość tę mamy po wycieczce w ubraniu nurka Józefa Tyszkiewiczza, poprzedniego właściciela Połagi, którą to wycieczkę odbył w początku ósmego dziesiątka ubiegłego stulecia wraz z towarzyszem, uczonym zawodowcem, którego nazwisko do nas nie doszło.

Piasek morski posiada tę własność, iż nieruchome przedmioty pochłania, a ponieważ prawo morskie nie dozwala zabierać przedmiotów kultury, wyrzuconych przez morze, losowi temu podlegają wszelkie łodzie, szalupy i okręty, które kiedykolwiek dostały się tą drogą na brzeg.





Z OKOLIC POŁĄGI. WYDMA WĘDRUJĄCA, WKRAČAJĄCA W BAGNO.

fol. ze zb. Pol. Tow. Krajozw.

Takiej zagładzie uległa szwedzka łódź raktunkowa z kajutą, około 1890 r., jak również mały holenderski jednomasztowy statek „Tom“ w r. 1899. Burza morska wybucha nagle, zawodząc nieraz najwprawniejszych znawców morza.

Burza zaskoczy czasem łodzie znieznacka i bywa, że ledwie kilku ludzi z życiem uchodzi, walcząc wplaw z falami. Szczątki portu pod Birutą zatrzymują topielców, którzy, jeśli ominą je, szybko są niesieni prądem wody na północ, gdyż taki jest prąd pod Połagą, i zatrzymują się dopiero u ujścia rzeki Świętej. Tam też jadą wdowy i matki, oczekując ciał mężów i synów, śpiewając pobożne a smętne pieśni.

W Poładze od niepamiętnych czasów w każdy piątek o trzeciej po południu odzywa się kościelny dzwon; jest to dzwon topielców, dopominający się o modlitwę za duszę tych, którzy kiedykolwiek potonęli.

Rybacy wypływają najczęściej na połów śledzi. Połów taki najobfitszy jest około marca, kwietnia oraz sierpnia i września. Wypływa się na noc w kilka, kilkanaście lub kilkadziesiąt łodzi i staje grupami na pewnej linii, w odstępach, zawieszając sieci prostopadłe. Rybacy umieją poznać, w którym miejscu będzie

przechodził wał śledzi, istna wędrówką milionów, i stają wpoprzek tego wału. Płynące śledzie trafiają w oka sieci i już wydostać się z nich nie mogą. Ciekawy jest też połów wielkiej ilości fląder, zwanych tu otonami. W cichy i mglisty ciepły dzień, specjalnie do połowu tych ryb odpowiedni, wychodzą w pojedynkę rybacy, ubrani w długie, aż na biodra zachodzące buty nieprzemakalne i przywiązawszy do nogi bucz na składanie węń ryby, zapuszczają się niezbyt daleko w morze, klując przed sobą prostopadłe grunt pod nogami oszczepem i deptając w miejscu. Wygląda to dla niewtajemniczonych zagadkowo i niezrozumiale. Podobnie brodzą, szukając bursztynów, ale posługują się siatką na kiju, przypominającą w powiększeniu siatkę na motyle, inne też wykonywują przyrem ruchu.

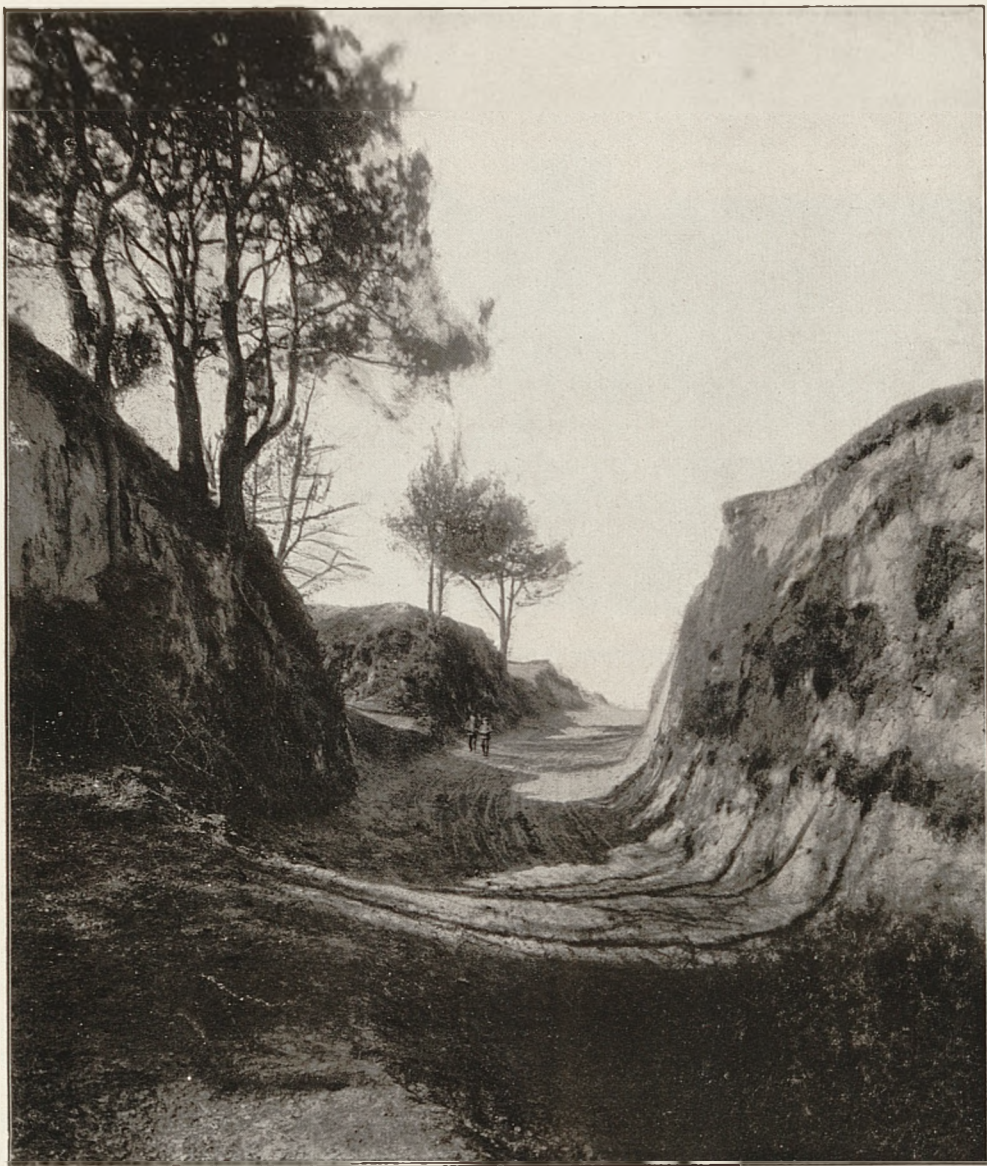
Pod Połagą bywały bitwy, są ślady obozowiska, ciągnącego się pół wiorsty lub więcej. Trudno o jego wielkości dziś sądzić, gdyż jednego tylko trójkąta zachował się zarys. W rynku leżały szwedzkie armaty pozbawione lawet, które później zostały przeniesione do parku¹⁾.

¹⁾ W zakładowym parku w Poładze (dawniej rezydencyjnym) znaleziono grób jakiegoś kontuszowca, którego buty znosił włóścianin. Grób ten



Kościół pocysterski w Oliwie pod Gdańskiem.

ze zbior. Pol. Tow. Kraj.



Wąwóz leszowy w Wojnowicach, pow. opatowski.

fol. St. Thugutt.



rot. ze zb. Pol. Tow. Krajozn.

SOŚNINA KARŁOWATA NA PIASKACH NADBRZEŻNYCH POD HOLENDERSKĄ CZAPKĄ (POŁĄGA).

Poługa dzieliła się na starą i nową — stara obejmowała chaty i domki rybackie i włościańskie, nowa miała kilkanaście domów wraz z pocztą i kościołem, które to domy umieściły się wzdłuż domu lipawsko-memelskiego. Dziś widać wiele się już zmieniło i po zniknięciu lasu oraz przeniesieniu z dawnych siedzib na nowe t. zw. wolnych ludzi w latach (1901—3 roku) coraz bardziej zaczęły się zabudowywać wydmy i pustki piaszczyste w stronę morza.

Byłoby rzeczą bardzo pożądaną, gdyby zaczęto uważać Poługę jako oazę dla osób, które szukają orzeźwienia starganych nerwów wśród przeczystego powietrza i błękitnych śniegów zimy. Poługa nie jest jedynie letnią stacją

klimatyczną. Latem, przy napływie ożywionych tłumów Poługa przybiera szatę banalną, przynajmniej pewna część tej Poługi bawiącej się i „depczącej“. Latem dla ludzi o wysokiej kulturze ducha i umysłu, ludzi, których u nas bądź co bądź jest mało, ale o których istnieniu wątpić nie mamy prawa, Poługa przez czas sześciotygodniowego trwania sezonu jest najmniej powabna. Powabem jej całym jest oświetlenie elektryczne i dostatek służby, czego w innych miesiącach nie ma. Ale urok prawdziwy, ten urok, którego szukają nie panny na wydaniu i nie bywalcy kabaretów, pogłębia się i trwa właśnie wtedy, gdy rój gości około łaźni zanika. Cudowny jest pobyt od połowy stycznia przez luty. Takiego pobytu zimowego nie ma chyba nigdzie w dostępnym nam klimacie. Powietrze przeczyste, mrozy lekkie, przestrzeń prześwietlona i nagrzana słońcem, dają niezrównane spacerować.

D. N.

tkwił przed trawnikiem klombu, przez którego miejsce przechodzi dzisiaj główna od białej bramy.



Wschodni kąt powiatu cieszanowskiego.

Wschodni zakątek powiatu cieszanowskiego, jest nie tylko piękną częścią Galicyi, ale i pod względem ludności jest godzien uwagi. Powiat cieszanowski należy do wschodniej Galicyi, ale poniekąd stanowi granicę między wschodnią, a zachodnią jej częścią.

Od południa wjeżdża się do tego zakątka z miasteczka Bełzca, gdzie jest komora celna. Od stacji kolejowej w Bełzcu prowadzi jeden gościniec do Tomaszowa, leżącego w Królestwie, a drugim wyjeżdża się z powiatu rawskiego do cieszanowskiego. Gościniec prowadzi przez urocze lasy, przeważnie szpilkowe. Pierwszym miasteczkiem jest Narol, łączący się przez rzeczkę z Lipskiem. Oba, pełne Żydów, mają typowe rynki. W Lipsku jest słynna bożnica jeszcze z czasów Chmielnickiego. Ziemia tutaj dość urodzajna, choć nie najlepsza. Charakterystyczną jest rzeczą, że tak w Narolu, jak w Lipsku jest kościół, jeden od drugiego oddalony o 10 minut drogi. W Narolu parafia założona była w r. 1505 przez Floryana Łaszcz-Neledowskiego; kościół obecnie istniejący zbudowany był w r. 1847, zresztą nic w nim szczególniejszego; w Lipsku parafia ufundowana w r. 1625 przez Samuela z Lipia Lipskiego, kościół zbudowany w r. 1858, również zwyczajny. W całej archidiecezyi lwowskiej niema drugiego przykładu, gdzieby dwa parafialne kościoły tak blisko siebie leżały, nie biorąc oczywiście pod uwagę miejskich. Na blisko 6000 ludności katolickiej polskiej w obu parafiach jest około 600 ruskiej, a nowa cerkiew powstała z aż nadto szczodrej ofiarności Polaków.

Z Narola jedzie się dalej gościńcem bitym do Płazowa. Jest to dzisiaj uboga wieś, ale dotychczas figuruje w aktach urzędowych jako miasteczko. Płazów i kilka okolicznych wsi leżą w lasach szpilkowych, których jest przeszło 20,000 morgów w jednym kompleksie; sięgają one aż do granicy Królestwa. Ziemia tutaj są piaszczyste, mało urodzajne. Ludność też nie może wyżyć z ziemi, ale przeważnie z zarobku. Płazów ma dość ładny murowany kościół (w r. 1843), a liczy 4500 parafian z kilku jeszcze wioskami. Przeważna część lasów należy do bar. Wattmanna, Niemca; niema tam rabunkowej gospodarki, a wszelkie wyręby i zalesiania są tak wzorowo i racjonalnie prowadzone, że mogą za wzór służyć.

Ten kącik Galicyi przytyka do Chełmszczyzny, a ludność jest pokrewna tamtej. Gdy

byśmy przeszli całą wschodnią Galicyę, to ma to gdzie znaleźlibyśmy ludność o tak wybitnym charakterze polskim. Pozwolę sobie przytoczyć przykłady, według których podzieliłbym pochodzenie ludności polskiej we wschodniej Galicyi po wsiach. 1) Gdzieniegdzie pozostały szczątki t. zw. szlachty chodackowej, która aczkolwiek schłopiała, to jeszcze dziś uważa się jako ludność wyżej stojąca kulturalnie od chłopskiej, choć w rzeczywistości niczem nie różni się, a zacofaniem, krańcowem nieuctwem, a zwłaszcza pieniactwem nieraz ją przewyższa, zwykle jednak twardo trzyma się obrządku rzymsko-katolickiego i narodowości polskiej. Że ta ludność jest pochodzenia szlacheckiego, mamy dowody w metrykach, a nawet dyplomy szlacheckie można znaleźć u nich w domu. 2) Ludność osadnicza. W wyludnionym kraju trzeba było rąk do pracy, a że miejscowa ludność nie wystarczała, przeto sprowadzano ją ze stron odległych. Pełno tutaj dawnych i nowszych osadników. Niezmierzone obszary lasów wymagały dużo robotnika, nadto wyrabiano w lasach dziegieć i smołę i do tej pracy używano przeważnie Mazurów. W każdym razie i ta ludność jest nawskroś polska. Przejdźmy całą wschodnią Galicyę, a znajdziemy niewiele wsi, gdzie Polacy używają w potocznej mowie języka polskiego, większość mówi w domu i między sobą po rusku. Żeby się ten nałóg wykorzenił, na to trzeba całe wieki pracować, a nadzieja chyba w młodem pokoleniu. Straszny konserwatyzm jak jad wsiąknął w chłopą polskiego i sprawił, że mu ta gwara najmilsza. Tutaj przeciwnie, są wsie, gdzie Polacy zgoła ruskiego narzecza nie znają i dzieci z trudnością uczą się go jako drugiego języka krajowego. Nawet w tych wsiach, gdzie Polacy pomieszani są z Rusinami, mówią wyłącznie między sobą po polsku.

Szkodę też przynoszą we wschodniej Galicyi Polakom mieszane małżeństwa. Przeciwnie prawie w każdej parafii najmniej trzecia część, jeżeli nie połowa ludności składa się z małżeństw polsko-ruskich. Według konkordyi kościelnej dzieci w ten sposób bywają chrzczone, że chłopcy idą za ojcem, a dziewczęta za matką. Poza tem zdarzają się ciągłe spory, czy ma się obchodzić święta według obrządku rzymsko-katolickiego, czy grecko-katolickiego. Strona silniejsza usiłuje słabszą zmusić do zmiany obrządku. W naszym zakątku

niema mieszanych małżeństw, przynajmniej jest ich niewielki procent. Bardzo też rzadkie są wypadki, aby młodzieniec sobie szukał dziewczyny w innej stronie, najczęściej żeni się w swojej wsi. Stąd ta ekskluzywność Polaków od Rusinów.

Sposób życia tejże ludności jest dość prosty, ale nie pozbawiony pewnych swoistych przymiotów. Ludność jest dość spokojna, a nadzwyczaj pobożna. Tam gdzie nie może wyżyć z ziemi, zarabia w zimie przy wyrębach, a latem „idzie światami“, skąd przynosi dużo naleciałości. Jednym ze skutków tego jest zarzucenie stroju ludowego, a przybranie się w pruską tandetę. Jeszcze niektórzy jednak

ubierają się w białe płótniki, które sobie sami w domu wyrabiają. Ponieważ młodzież ma dobre zarobki, więc i tu wkrada się zbytek w strojach, z dziewcząt każda chce się na święto inaczej ubrać. Jednak ludność na ogół dobra, a w obcowaniu uprzejma.

Powyższy bardzo krótki opis wschodniego kątu powiatu cieszanowskiego nie może uchodzić za monografię; chciałem zaznaczyć tylko polskość okolicy, tak mało znanej w Galicyi, a tem mniej poza nią, ciekawej zaś choćby dlatego, że sąsiaduje z Chełmszczyzną. Na zachód jest już ludność polska pomieszana z ruską i niema już tego wybitnie polskiego charakteru.



Al. Janowski.

Imigracja polska w Stanach Zjednoczonych. ⁷⁾

VII. Zajęcie imigrantów w drugim pokoleniu (Occupations of immigrants)

Komisja imigracyjna, której myślą oczywiście jest możliwie szybkie przerobienie 57 narodowości imigracyjnych na solidnych „cizenów“ Unii, żywo badała sprawę różnic w zajęciach pierwszej a drugiej generacji przybyśców i wyniki swych badań zamieściła w vol. 65 „Sénate Documents“.

Nas może jeszcze żywiej obchodzi sprawa tego drugiego pokolenia, które się już na wolnej ziemi Stanów urodziło, a że silny wpływ elementu polskiego ciągnie się od roku 1870, a więc już piąty dziesiątek lat, przeto materiały już są zgromadzone duże.

Z materiałów tych wynika pocieszająca dla nas wiadomość, że na ogół druga generacja polska staje ekonomicznie i kulturalnie wyżej od swych rodziców. Przytem charakterystyczna cecha polskiego chłopca: przywiązanie do ziemi nie słabnie tu, lecz przeciwnie z siłą powrotnej fali uderza o te rolnicze rzesze, czasowo wchłonięte w rozgwar wielkiego przemysłu, ale już w drugim pokoleniu otrząsające się z nienormalnego dla siebie typu pracy, a zwracające się w kierunku odwiecznych, dziedzicznych upodobań.

Podczas gdy ojciec, oderwawszy się od roli nad Narwią czy Wieprzem, niechętnie bierze widły czy grabie w rękę na imigracji, syn jego garnie się właśnie do roli. W liczbie osób, badanych co do zajęć, na roli pracuje: pierwszego pokolenia 10.5^o/_o, drugiego zaś 24.0^o/_o; natomiast liczba robotnika fabrycznego, t. zw. labourer not specified, to znaczy bez żadnej specjalności, najciężej pracującego, z 29.1^o/_o w pierwszym pokoleniu spada do 15.7^o/_o w generacji drugiej.

Spada też liczba w służbie domowej 31.3^o/_o wśród starszej do 18.1^o/_o wśród młodszej generacji. Zmniejsza się nieznacznie liczba „salunistów“ z 1.0^o/_o na 0.8^o/_o (i to coś warte). Natomiast wzrasta liczba pracowników w dziale przewozowym z 12.1 do 17.0^o/_o Pchają ludziska swoich synów na urzędników (0.5 u starych — 3.0^o/_o u młodych). Wzrasta liczba wykwalifikowanych rzemieślników, zwłaszcza budowlanych z 2.9^o/_o do 4.6^o/_o, cieśli z 1.3 do 2.3^o/_o, maszynistów z 0.7 do 1.2. Rzucają natomiast popłatne lecz bardzo znojne prace górnicze, zatrudniające 7.7^o/_o, wśród starych, a tylko 5^o/_o wśród młodego pokolenia.

Po starym nie garną się do handlu, cyfra kupców spada z 4.1^o/_o wśród starszej generacji

do 2.0% wśród młodej, idą jedynie na pracowników kupieckich, jak wyżej wskazano.

Młode pokolenie kobiet też różni się bardzo w charakterze zajęć od starszego. Przewszystkiem spada liczba służby domowej, owych dziewcząt „do wszystkiego“, a w rzeczywistości do niczego. Ta grupa pracy zatrudniała 33.9% starszych badanych, a tylko 27.6% młodych; spada cyfra kelnerek z 24.1% do 20.4%, spada liczba robotnic mozolnego a mało popłatnego przemysłu włóknistego z 18.8% do 7.2%, spada cyfra „labourers not specified“ z 2,2 do 1.7%.

Natomiast wzrasta liczba pracowników w popłatniejszych gałęziach zarobkowania, jak np. sklepowych z 2.5 do 5.9%, krawcowych z 4.4 do 5.5%, szwaczek z 18.4 do 21.8%, rzemieślniczek z 6.6 do 13.1%, urzędniczek z 0.7 do 1.9%, a nawet, o dziwo! nauczycielek z 1.2 do 2.0%.

Rozbijając jeszcze bardziej szczegółowo pozycje zajęć, zauważymy, że okazują się w młodym pokoleniu pracownicy, jakich nie było w starszym wcale, np. dentyści, prawnicy, żołnierze i marynarze St. Zjednoczonych, pracownicy bankowi, stenografowie, telegrafici, rybacy, pudelkarze, fotografowie, szcztokarze, aktorzy, nauczyciele, elektrotechnicy, urzędnicy państwowi, policjanci, żeglarze, gazownicy, szklarze, wszystko to w nieznanym jeszcze procencie, ale prawie we wszystkich 146 zajęciach, wyliczonych przez komisję, znajdują się Polacy.

Wśród 143 zajęć, wymienionych dla kobiet, też prawie wszędzie spotyka się Polki, a są wśród młodego pokolenia: aktorki, agentki, telefonistki, malarki, jubilerki, zegarmistrzynie, litografki, szcztokarki, których nie było wcale w pierwszym pokoleniu imigrantek.

Zauważyć tu jednak trzeba, że drugie pokolenie Polaków nie jest zbyt liczne, przybyszają bowiem do Stanów najczęściej bezżenni mężczyźni, lub też pozostawiają rodziny w kra-

ju. Stąd też, podczas gdy komisya mogła zbadać 183,055 imigrantów, to tutaj urodzonych Polaków miała tylko 25,975, a badała naprzykład 714,222 starszych, a 1,090,103 młodych Irlandczyków; 1,276,046 starych, a 1,491,839 młodych Niemców. Stąd też i dane polskie muszą być z konieczności mniej ściśle.

Charakterystyczne jest to usuwanie się od ciężkich fabrycznych zajęć: kopalnie Pensylwanii zatrudniają 2,352 młodych obok 34,730 starych, stalownie Ohio — 8,342 starych a 965 młodych Polaków, przędzalnie i tkalnie Massachusetts—5,731 starych, a 231 młodych.

Natomiast w rolnictwie obok 7.795 starych pracuje 5.729 młodych Polaków.

Wśród kobiet obok 3.023 pracujących w przemyśle bawełnianym imigrantek zaledwie 72 jest z młodego pokolenia.

Polski element rolniczy Wisconsinu, Minnesoty i Michiganu wzrasta silnie.

Sumując powyższe wyciągi, daje się zauważyć, że:

- 1) Druga generacja polska jest nieliczna.
- 2) Wzrasta grupa ludności rolniczej.
- 3) Porzucają ciężkie warunki pracy w kopalniach węgla, stalowniach i tkactwie.
- 4) Zajmują stanowiska zarobkowe, jakich rodzice zajmć nie mogli. To dzieje się naturalnie skutkiem znajomości języka angielskiego, którego brak zagradzał rodzicom drogę do takich zajęć.

Naturalną konsekwencją jest, że ani ci rolnicy z Wisconsinu, ani ci rzemieślnicy budowlani z miast amerykańskich, ani ci urzędnicy lub kupcy do kraju napewno nie powrócą. Wyrosli w innej kulturze i warunkach, zżyci od dziecka z nowym społeczeństwem, do śmierci będą służyli Stanom i gwiazdzystemu sztandarowi. Dobrze, jeżeli będą pamiętali i czuli, że z polskiej ziemi ród ich się wywodzi ale o powrocie, nad Wisłą i Wartę nie może być nawet mowy.

G. D. N.



Z NASZEJ TURYSTYKI.

Tadeusz Radliński.

„Gdzie wschód się kończy...”

5)
(dok.)

Stosunek żołnierzy względem oficerów jest dość ciekawy. Widziałem na stacyach kompanie, żegnające odjeżdżających oficerów. Każdy żołnierz, w miarę tego jak oficer przechodził przed frontem, każdemu mówiąc słów kilka, salutował po europejsku, zlekka się pochylając obyczajem japońskim, i jednocześnie odpowiadał słowami na pożegnanie. Ale tyle było w tem jakiejś tajonej ojcowskiej troskliwości z jednej strony, a pełnej szacunku życzliwości z drugiej, że to mnie doprowadza do wniosku, iż ten cement łączący szeregowców z oficerami jest ogromnie dodatnim elementem i atutem powodzenia. Nie jest to pełna nienawiści i lęku żelazna subordynacja pruska, trzymająca bardzo daleko armatnie mięsc od zwierzchników, ale jakieś zobopólne porozumienie się, cement, spajający głęboko poszczególne cegielki budowli, dzięki czemu jest ona trwała i mocna. Pomijając kwestyę techniki wojskowej i organizacyi, sądzę, że dzięki temu właśnie cementowi armię japońską nawet wyżej od pruskiej postawić można. Instytucyi tak zwanych żandarmów kolejowych nie zauważyłem zupełnie. Pociąg staje na wszystkich stacyach i publiczność ciągle się zmienia. Z przyjemnością i ciekawością spoglądam na barwne „obi” (pasy) na ciemnych podróżnych kimonach porcelanowo-twarzyczkowatych Japonek. Na takie kimono szanujący się podróżny obu płci nakłada ciemne leciutkie z przejrzystego jedwabiu kimono-palto, spięte na piersiach taśmą ze sprzączką. Nogi mężczyzna może mieć gołe i swobodnie je obnaża (spodni Japończycy nie noszą, jeno rodzaj przepaski od bioder pomiędzy udami), ale kobiety starannie nogi zakrywają. Drewniane lub z wikliny sandały stoją na podłodze, a obute w rodzaj pończochy-trzewiczka z wielkim palcem oddzielnie nogi są podwinęte na ławce. Stosunek kobiet i mężczyzn nawzajem odrazu się zaakcentowuje — całkiem różny od naszego. Wyobraźmy sobie przedstawicieli armii i płci pięknej siedzących obok siebie u nas w Europie! Ileby zaraz było półuśmiechów, podkręcania wąsów i brzękania ostrogami z jednej strony, a przeraźliwie niewinnej naiwności, wyrażającej się robieniem t. zw. oka i skromnej minki z drugiej. Tego całkiem tu niema. Moje rycerskie ja wstrząsa się z oburzeniem, że siedzący obok ślicznej Japoneczki z jeszcze śliczniejszym dzieciaczkiem na kolanach obrońca ojczyzny patrzy na nią z tym samym wyrazem twarzy, z jakim przed chwilą spoglądał na umieszczone wzdłuż wagonu spluwaczki. Oczywiście staram się wynagrodzić to karygodne niedbalstwo i częstuję malutką czekoladą. Zyskuję grzeczny uśmiech ślicznej mamusi i podziękowanie, ale czuję, że i ona spogląda na mnie z tym samym wyrazem. I rzeczywiście żadnego zaczepno-wyzywająco-odpornego stosunku niema ani

śladu w Japonii pomiędzy odmienną płcią! Dlatego to Japończycy kąpią się razem bez kostymów, absolutnie żadnej nie zwracając uwagi na obnażone wdzięki. Kobiety zaś w upał chodzą obnażone do pasa w małej tylko przepasce na biodrach do kolan zawiniętej — coś w rodzaju spódniczki; co prawda dzieje się to tylko tam, gdzie niema Europejczyków, bo policya zabrania tego rodzaju kostymów (a właściwie braku takowych) w miejscach przez turystów uczęszczanych. Górą moralna Europa, lubiąca wszystko zakrywać, co robi!

Pociąg nasz biegnie szybko poprzez starannie uprawiane przez niebiesko odzianych Mandżurów pola. Nie jest to wprawdzie ogrodowa uprawa, z jaką zapoznamy się w Japonii, po sposobie jednak uprawy, po równiutkich rzędzikach zielonych zbóż widać, jak jest staranna. I niema tu 3-polówki, nie mówiąc już o systemie „sclnym” spotykanym we wschodniej Rosyi, gdzie pole 1 raz na 15 lat jest zlekka uprawiane, służąc jako odlóg i pastwisko przez 14. Nigdzie nie widać ani piędzi ziemi nieuprawnej, ani głogu, ani ugoru. Pociąg pędzi żyzną doliną o czerwonym gruncie, od którego żywo odbija jasnozielona pszenica. Zdaleka patrząc, myślę że musi tu być sporo glinki lessowej, sądząc po charakterystycznych, głęboko wyżłobionych przez wodę wąwozach i drogach, głęboko niżej poziomu pól kołami niezdarnych 2-kołowych arb żłobionych. Dłuższy przystanek w Telinie, ostatniej kwaterze armii rosyjskiej. Stąd już ku południowi jechać będziemy przez obficie krwią ludzką skropione pola. Nazwy stacyi są pisane hieroglifami chińskiego pochodzenia, a oprócz tego alfabetem japońskim i po angielsku, można się więc łatwo orientować.

Koło 8 wieczorem stajemy w Mukdenie. Obfita i smaczna kolacja w poczekalni hotelu Jamato na dworcu. Przedtem w wagonie próbowaliśmy jeść jakieś malutkie rybki w sosie ostrym, w puszcze konserwowej kupione. Do tych rybek dostaliśmy drewnienko stopę długie, rozszczepiane. Drewnienkiem tym tykaliśmy w rybki, wyciągając je niezgrabnie. Dopiero potem dowiedziałem się, że drewnienko należało rozszczepić do końca i byłyby 2 paleczki, do jedzenia zwykle na Wschodzie służące. Pocięsznie musieliśmy wyglądać, dybiąc w te rybki patykami.

Wyobraźmy sobie u nas w wagonie kogoś, kto-by jadł mięso trzymając widelec albo nóż za odwrotny koniec! Ileby było śmiechu. Tu nikt z publiczności ani się nie roześmiał z naszych nieudolnych i bezowocnych usiłowań. Półdżicy barbarzyńcy Wschodu! Pamiętam, że gdy w Irukucku wsiadła jedna rodzina chińska — podróżująca I klasą — a to samo już budzi poszanowanie wśród stacyjnej gawiedzi, to Chińczyk ów nie mógł się pokazać na

peronie, żeby nie wzbudzać radości mocno niezyciwej. Jeżeli szedł z imbrykiem po gorącą wodę na herbatę, a nie wiedział, dokąd ma się skierować, nie było wypadku, żeby mu nie pokazano drogi w zupełnie odwrotnym kierunku niż trzeba było. Nawiasem mówiąc zaznajomilem się z nim i był to wysoce kulturalny człowiek, bardzo grzeczny; jego mała 4-letnia córeczka — śniada z małym pęczkiem włosów na czubku głowy, związanym malinową twardą wstążką, w czarnych majteczkach — chętnie przyjmowała odemnie czekoladki, a on częstował mnie cygarami. Ciężko nam się jednak było porozumieć, bo ja nie ovladnęłem jeszcze w zupełności chińskim językiem prócz słowa „cin-dzo“, co znaczy „proszę siadać“, a on wymawiał zrozumiale dla mnie jedno tylko słowo „Har-bin“ w niesłychanie gardłowyspůsob. Rozmowa więc nasza nie była zbyt urozmaiconą. Za Mukdenem (po japońsku Fengtjen, choć charakter t.j. znak oznaczający to słowo jest wspólny dla obu tych języków — będę zresztą o tem mówił później) układamy się spać na małych 2-osobowych ławeczkach, umieszczając się w kucki po japońsku. Jasny ranek zastaje nas na południowej części półwyspu Laotuńskiego. Naokoło górzyste sopki, uprawna równina, po której biegnie pociąg, wciąż jest przerywana przez małe kurhany, gdzie pogrzebano poległych w ostatniej wojnie. A ilość tych kurhanów jest ogromna. Wszędzie oko spotyka te zieloną trawą porosłe mogiły. Robią one silne wrażenie. Napisy na stacyach są znane z opisów słynnych bitew. Oto przejeżdżamy przez wązki przesmyk półwyspu. Na lewo ku wschodowi widać morze — odsłaniające w odpływie szare dno, po którym brodzą masami dzieciaki przy połowie ryb i mięczaków, a dalej zarysowują się na horyzoncie wyspy, które służyły jako podstawa operacyjna dla floty japońskiej.

Pola krwią ludzką zlane obficie! I przypomina się starożytna słoneczna Hellada i Xerxes i Dariusz. Że też ludzkość od tyłu (24) stuleci nie posunęła się kulturalnie o tyle, żeby nie koniecznie zabijać swego sąsiada w celu zajęcia jego ojczyzny! A tu tymczasem, gdy te słowa piszę, wre bratobójcza walka słowiańskich narodów na Bałkanach, a Japonia jest zupełnie gotowa do wojny z Chinami, żądając indemnizacyi za śmierć 4 Japończyków w Nankinie i 5,000,000 jen za ich zniszczone mienie. A Chiny północne wciąż walczą z południowemi — który też z ambitnych jenerałów zdola swe chciwe ręce w kieszeń z podatkami zapuścić! „O ludzkości, ty rodzie Kaina...“

Oto i boczna linia kolejowa, prowadząca z Dairen do Portu Artura (obecnie Liu-szuń), gdzieś za temi potężnymi górami położonego. Krwawo płonące karty historii jedna za drugą są przewracane w moich oczach!

O 7 stajemy w Dairen — parostatek Kole-Maru odchodzi o 12. Śniadanie w eleganckim kolejowym hotelu Jamata i zwiedzanie miasta. Europejska część miasta wygląda jak bogate wille o międzynarodowej architekturze, tonące wśród ogrodów z eleganckimi ogrodzeniami. Ulice gładkie jak stół — wylane asfaltem, masa tramwajów elektrycznych sunie przez nie. Liczne miliony rubli, a potem jeńców pochłonęło to zbudowanie miasta — ale też wygląda jak cacko. W przystani ruch ogromny. Parowce

do Chin i Japonii kursują tu stale i regularnie. Biura urzędowe w porcie zajmują budynki o architekturze ściśle bizantyjskiej. Sic transit gloria mundi. Pierwsze próby porozumienia się w języku angielskim są bardzo niefortunne, rosyjskiego nie zna nikt. Nakoniec o 12 Kobe-maru rusza.

V. Morze Żółte.

Jesteśmy na morzu Żółtem. Pierwsza rzecz na morzu to rozkoszna kąpiel morska w wannie po 2 tygodniach, spędzonych w wagonach 9 kolei, jakieśmy po drodze przebyli. Do białej jak mleko, czystośćkiej wanny nalewa się zimnej wody morskiej, wprost z błękitnej toni pompowanej, a potem otwiera się kran dla pary, która tę wodę ma ogrzać. Rozlega się przerażający zgrzyt pary wydobywającej się z rury, zupełnie jakby kto maszynę parową żywcem ze skóry obdzierał. Za chwilę woda nagrzana. Pograżasz swoje obrzydliwe kolejowe ciało w ciepłą słoną wodę i zaznajasz niesłychanych wprost rozkoszy! Jakbyś się na nowo na świat narodził!

Japońskie parowce są urządzone doskonale. O ile inne kompanie okrętowe uważają za ludzi tylko pasażerów I klasy i dla nich urządzają wszystko, co jest ostatnim wyrazem komfortu, Japończycy rozciągają pojęcie „homo“ i na II klasę. Jest nam więc bardzo dobrze. Mamy prawo chodzić po całym statku, tylko stół mamy osobny.

Co to za nadzwyczajna jest przyjemność po 2 tygodniach, spędzonych w wagonie, mieć naokoło siebie olbrzymią przestrzeń. Świeży wiatr morski bez swędu, dymu i kopci! Jestem jak wniebowzięty. Jedna tylko rzecz mąci harmonię duchową! Dla czego, u diabła, to tak bardzo błękitne morze nazwano Żółtem?

Przynależność moja do kościoła rzymskiego a nie greckiego oczywiście uniemożliwia mi (według ścisłego brzmienia cyrkularza Min. Ośw., № nie pamiętam) pojmowanie a tem bardziej wyłożenie ci, o czytelniku, rzeczy tak ściśle z wyznaniem połączonej, jaką jest geografia.

Przypominam więc sobie tylko odpowiednie ustępy wszystkowiedzących Smirnowów i Lebediewów i jestem w silnej duchowej konsternacyi. Dopiero, gdy słońce pochyliło się znacznie ku zachodowi — zrozumiałem: cała zachodnia połowa nieba była silnie żółtego koloru. Od żółtego ładu szła żółta emanacja na błękitne niebios! I rzeczywistość powietrze na suchych krańcach Azji jest wciąż przepelnione żółtym leciutkim pyłem. Pył ten, niesiony przez wiatry ze środkowych suchych wyżyn, napelnia powietrze, a osadzając się w ciągu licznych tysiącleci tworzy pokłady żyznego lessu.

Zapada noc, termometr wskazuje 54° F. Chłodno. Zdaleka widać latarnię morską Czi-fu. Nagle jakiś nieokreślony powtarzający się w odstępach syczący szmer zbiega ku nam gdzieś z wysokości masztów, a jednocześnie błękitnawe lśniące światło błyska w kabinie na pokładzie z napisem „Wireless“ „Dangeru“, „Keep out“ (Telegraf bez drutu. Niebezpiecznie. Trzymaj się zdala). To markogramy przylatują do nas gdzieś z odległej przestrzeni —

tałe elektryczne schwytań przez geniusza czło-
wieka!

Nazajutrz prawie cały dzień schodzi nam na
odpoczywaniu po trudach kolei — w sobotę zaś
1 czerwca stanąć mamy w Szanhaju — pierwszych
wrotach do olbrzymiego państwa żółtego smoka —

do Rzeczypospolitej Środka! Z tą myślą kładziemy
się wcześniej spać — jutro będziemy w Chinach.

Na tem kończy się pierwszy etap mojej podró-
ży naokoło świata. Po półtoramiesięcznym poby-
cie w Chinach wyruszyłem, już sam jeden do Ja-
panii, na wyspy Hawajskie i do Ameryki.



Z Pol. Tow. Krajoznawczego.



Sekcja Miłośników Warsza-
wy Pol. Tow. Krajoznawczego
przerwywając swe czynności na czas
ferii letnich, odbyła niedawno dwa
posiedzenia pod przewodnictwem
p. Henryka Fukiera, na których
wygłosili odczyty: prof. Włady-
sław Smoleński i prof. Adam Szpadkowski.

Pierwszy z prelegentów w odczycie p. t. „O sa-
morządzie Warszawy za Stanisława Augusta“ przed-
stawił historię komisji „boni ordinis“, powołanej
do życia przez Stanisława Augusta w celu uporząd-
kowania stosunków w magistratach, cechach i in-
nych organizacjach miejskich. Wielce ceniony nasz
historyk, opierając swój ciekawy wykład na studiach
gruntownych, omówił szegółowo działalność owej
komisji.

W odczycie „Warszawa w dobie napoleońskiej“
prof. Szpadkowski, mówiąc o epoce Ks. Warszaw-
skiego, przesunął przed licznie zebranymi słucha-
czami jakby obrazy Warszawy ówczesnej we wszel-
kich przejawach jej życia, dobitnie scharakteryzo-
wał mieszkańców na tle wypadków doby napoleoń-
skiej, barwnie wypuklając wybitniejsze postacie
historyczne. Prelegent wywołał żywe oznaki zado-
wolenia słuchaczy nie tylko dzięki ciekawemu te-
matowi swej prelekcji, lecz również dzięki świetnej
formie, jaką rzadki dar wymowy prof. Szpadkows-
kiego nadaje wszystkim jego przemówieniom.

Członkowie sekcji zwiedzili zbiorowo Wystawę
starych rycin polskich p. Dominika Witke-Jeżew-
skiego w kamienicy Baryczków, gdzie objaśnień
udzielał członek komitetu wystawy dr. Władysław
Tatarkiewicz.

oooooooo

Przebieg pogody w miesiącu maju 1914 r.

Sprawozdanie Kom. Fizyograficznej P. T. Kr.

Wbrew przysłowiu, które zachwala suchy ma-
rzec a maj mokry, w bieżącym roku mieliśmy ma-
rzec mokry a maj przeważnie suchy.

Z początku było dżdżysto i chłodno. Tylko dnia
3 wypogodziło się na krótko, lecz następstwa tego

poprawienia pogody były złowrogie, gdyż nocą wy-
stąpił ostry przymrozek, który miejscami wyrządził
dotkliwe szkody w ogrodowiznach. Od 12 maja za-
panowała bardzo sucha, słoneczna, pod koniec mie-
siąca upalna pogoda, przerwana 28 maja burzą, któ-
ra rozlała po całym kraju gorąco upragnione ulewne
deszcze.

Temperatury średnie miesięczne naogół były
w zachodnich częściach kraju blizkie normy, lecz
we wschodnich a zwłaszcza w Lubelskiem były za
nizkie (blizko o 1°).

Zachmurzenie było też rozmaite w różnych czę-
ściach kraju: np. w Warszawie słońce świeciło tyl-
ko 216 godzin, gdy zwykle na maj przypada tu 241
godzin.

Bardziej zaś na zachód było pogodniej.

Deszcze były wszędzie za rzadkie i przeważnie
skąpe. Szczególnie sucho było w środkowej czę-
ści kraju. Lecz wogóle ilość spadłej wody rozło-
żyła się nader nierównomiernie i w niektórych oko-
licach, jak w Krakowskiem i w Suwalskiem, deszcze
były nadmiernie obfite. Nierównomierność tę spo-
wodowały burze w początku i w końcu miesiąca,
podczas których miejscami spadły wielkie ulewy.
Przeciętnie spadło w Królestwie 41 mm. wody w 10
dniach, gdy ilość średnia z wielu lat wynosi 50 mm.
w 12 dniach.

Na Litwie i Rusi deszcze były cokolwiek za
obfite, choć niezbyt częste. Temperatura wypadła
nieco niższa od normy.

W początku miesiąca kilka zniżek przeszło
przez Skandynawię na wschód, sprowadzając nam
częste zmiany pogody. Od 12 maja znajdowaliśmy
się w dziedzinie antycyklonu. 28 maja w Królestwie
uformowała się płytka rozległa depresja.

Niżej są zamieszczone niektóre dane ze stacyi
P. T. Kr.

a) Temperatura:

Jędrzejów: Temp. średnia mies. 12°,9 Temp.
maks. + 26°,4 dnia 27-go. Temp. minim. — 2°,1 dnia
3-go.

Dąbrowa Górnicza: Temp. śr. mies. 13°,6. Temp.
maks. + 26°,7 dnia 27-go. Temp. minim. — 2°,5 dnia
3-go.

b) Opady:

	Wysokość w mm.	Liczba dni
Ostrolęka	38	9
Chodecz Kujawski	27	5

Suchedniów (p. kielecki)	44	12
Jędrzejów	36	12
Miechów	34	16
Włoszczowa	82	12
Olkusz	32	13
Dąbrowa Górnicza	28	15
Wysokie (p. krasnostawski)	95	12

c) Trwanie usłonecznienia: Jędrzejów 236 godz.

skiego, porównyując ją z terenem i podziwiali nadzwyczaj sumienne, detaliczne i pracowite jej wykonanie, wyciągając stąd wnioski pożyteczne dla swych prac kartograficznych.

Był to wypadek bądź co bądź niepospolity, że tylu naraz Polaków zebralo się na wspólną wyprawę naukową.

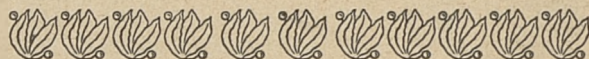
oooooooooooo

oooooooooooo

Odpowiedź Redakcyi.

Panu Zaleskiemu w Stąporkowie. Pracę Pańską chętnie umieścimy w „Ziemi”. Szczegóły listownie.

oooooooooooo



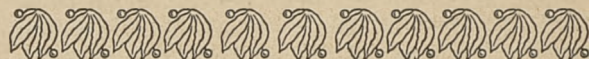
MEBLE W RÓŻNYCH STYLACH SOLIDNEJ ROBOTY

POLECA

P. GRODECKI

ulica Marszałkowska 68, telefonu № 112-94,
od 8 maja na Żórawiej 33.

Pp. Członkom Tow. Krajoznawczego ustępstwo.



Kronika krajoznawcza.

+ W Lozannie przebywa kilku Polaków, którzy przybyli tam, aby poznać szwajcarską wzorową kartografię i pod kierunkiem głośniego geologa Lugeona na niezmiernie skomplikowanych Alpach, nauczyć się rozstrzygać kwestye geologicznej budowy kraju.

W dniach 21 — 23 maja odbyła się wycieczka młodych geologów do Siementthalu i Diemtighthalu. Z liczby 10 uczestników sześciu było Polaków, a mianowicie F. Rabowski, L. Horwitz, S. Krajewski, K. Świdorski, H. Baczyńska i St. Lencewicz, a oprócz tego jeden Francuz, Niemiec, Holender i Rosyanin. Na trzeci dzień zostali tylko sami Polacy, program bowiem zakreślono tylko na dwa dni. Wycieczkę prowadził F. Rabowski, autor mapy zwiędzanego terytorium, nad którą pracował sześć lat. Obejrzano płaszczowinę Prealp środkowych, brekcji i retycką (ostatnią odkrył tu F. Rabowski), stanowiące przedmurze Alp i nasunięte tu z południowego-wschodu. Uczestnicy, pracujący nad mapami w innych terenach pilnie studiowali mapę Rabow-

Od Administracyi.

Prosimy sz. prenumeratorów o odnowienie przedpłaty na kwartał III.

TREŚĆ: S. Matusiak — Koń w naszych wierzeniach ludowych (c. d.). W. Piotrowski — Noc letnia w wierzeniach ludu ukraińskiego. Nora Walicka — Połaga (c. d.) (z 3 ryc.). Ks. Augustyn Boraczek — Wschodni kąt powiatu cieszanowskiego. Al. Janowski — Imigracya polska w Stanach Zjednoczonych (c. d.). Z naszej turystyki. Tadeusz Radliński — „Gdzie wschód się kończy...” — Z Pol. Tow. Krajoznawczego — Kronika krajoznawcza. — Poza tekstem: Szczegół zagrody (dziś nieistniejącej) Hrycia Huka w Ilce Żabiowskiej, pow. kosowski. — Wkładka: Wąwóz lessowy w Wojnowicach, pow. opatowski.

Redaktor i Wydawca Kazimierz Kulwieć.